

Kobieta, za którą warto było oddać życie

Natalia Molenda

Moja babcia była jedną z lepszych osób, jakie poznałam w życiu. Zawsze pogodna, łagodna, w dobrym nastroju. Zawsze gotowa pocieszyć, wesprzeć i nakarmić. To może dlatego ludzie tak bardzo do niej lgnęli, może dlatego nie wahali się pospieszyć jej z pomocą, choć bardzo rzadko o nią prosiła. Kiedy przypominam sobie jej gruby, kasztanowy warkocz, który nosiła do późnej starości, rumiane policzki pokryte siatką popękanych żyłek i błysk w małych oczach, ogarnia mnie przyjemna fala czułości i wtedy potrafię zrozumieć, że ktoś mógł chcieć za nią umrzeć. Nawet, jeśli tym kimś był mój ojciec.

– Weźcie mnie zamiast niej – powiedział pewnego dnia, patrząc tym swoim surowym i nieustępliwym wzrokiem w twarz żołnierza gestapo.

Był ponury marcowy dzień po długiej i bezlitosnej zimie. Tydzień wcześniej na zapalenie płuc zmarła moja młodsza siostra – to dlatego przy stole siedział ojciec. Przez całą wojnę przyjechał do domu dwa razy, w lipcu '40 roku, żeby pierwszy raz zobaczyć drugą córkę i rok później wczesną wiosną, żeby ją pochować.

Babcia Marta bardzo kochała mojego tatę, pierwszego zięcia, męża najstarszej córki. Kochała go za to, że był dobrym, szlachetnym i wesołym człowiekiem, ale też za to, że zgodził się z nimi zamieszkać, choć jego rodzice mieli duże gospodarstwo, które mógłby odziedziczyć. Bo babcia bała się zostać bez mojej mamy. Wychowywała samotnie jeszcze czterech synów i dwie córki, a kiedy wyprawiano wesele, troje z nich nie miało skończonych dziesięciu lat. Mieszkaliśmy więc razem w dużym gospodarstwie, które dzięki pracowitości babci mogło wykarmić dziesięć gąb. Ale kiedy nastąpiła wojna, wszystko się zmieniło. Tato nie zastanawiał się długo, spakował niewielką torbę, pocałował mamę w czoło, pogłodził ją po brzuchu, w którym była już Marysia, pstryknął mnie w nos, uściskał babcię i popędził na dworzec. Ku chwale ojczyzny.

Miesiąc później nasza wieś znalazła się w granicach Generalnego Gubernatorstwa i pewnego dnia na podwórku stanęła grupa Niemców. Poinformowali nas, że jesteśmy zobligowani do dostarczania im kontyngentów, czyli jedzenia, które ciężką pracą babcia z mamą i wujkami zbierała z pola i hodowała w chlewie. Zaczęliśmy niedojadać. Bo Niemcy od razu zabrali nam dwie krowy i świnie, cztery worki ziemniaków i dwa maki. Pamiętam dokładnie, bo był koniec października i zapasy na zimę zostały tydzień wcześniej przygotowane i schowane na strychu – babcia Marta każdy worek jedzenia opatrzyła datą.

– Boże drogi, jak my sobie poradzimy – załamywała ręce mama. – Przecież nie przeżyjemy zimy, jeśli nas będą tak ograbiać.

– Nie martw się, myszko – pocieszała ją babcia, gładząc po zaokrąglonym brzuchu. – Jeszcze się mi w życiu nie zdarzyło nic, z czym mogłabym sobie nie poradzić – dodawała z uśmiechem.

Rzeczywiście. Babcia wychodziła cało z każdej opresji i nawet w nieszczęściu potrafiła dostrzec jasną stronę. Choć wydano ją za mąż wbrew woli za dużo starszego mężczyznę, nie płakała na ślubie, co więcej postawiła sobie za cel pokochać pochmurnego człowieka, bo „przecież każdy zasługuje na miłość”. Jej dobroć i łagodność, a także silny charakter sprawiły, że dziadek po pewnym czasie wolał z nią siadać w niedzielę popołudniu pod orzechem niż z kolegami bić bimbler i grać w karty. Po jego śmierci płakała przez tydzień, ale kiedy zmyła naczynia po stypie, zamiotła podłogę w sieni i położyła wszystkie dzieci spać, otarła oczy i powiedziała:

– Czas żyć dalej.

I już nigdy nie uroniła za nim łzy. Wspominała go z czułością i uśmiechem, choć życie z dziadkiem do najłatwiejszych nie należało. Mój tato ją podziwiał. Myślę, że dlatego też zakochał się w mojej mamie, bo odziedziczyła niektóre cechy charakteru po babci Marcie.

Marysia przyszła na świat zaraz po trzeciej wizycie gestapo, kiedy żołnierze wynieśli na plecach połowę naszych zimowych zapasów. Nie wiem, co sprawiło, że oszczędzili nam ostatnią krowę. Zostawili też dwie świny, informując, że mamy jak najszybciej pokryć lochę, a wszystkie prosiaki podtuczyć. Dobre sobie! Ciekawe, co takiego miały te prosięta jeść. Ale udało się i cztery miesiące później nasza maciora urodziła osiem młodych. Miałam wtedy siedem lat i chyba najbardziej z tamtego okresu pamiętam owe prosięta. Pomagałam babci sprzątać im boksy, karmiłam je rozgotowanymi ziemniakami i ciętą pokrzywą, bawiłam się z nimi – jak to dziecko. Zwierzęta rosły. Z każdym dniem coraz bardziej się do nich przywiązywałam, co więcej z jedną z nich – z loszką o brązowym uchu – bardzo się zaprzyjaźniłam. Dałam jej na imię Śnieżynka i codziennie wieczorem kucałam przy jej boksie, aby zdradzić jej swoje największe sekrety. Ze strachem myślałam o dniu, w którym przyjdą Niemcy i ją po prostu zabiorą, żeby pożyć. Mimo że, jak wszyscy, bywałam wtedy bardzo głodna, nie mogłam spojrzeć na te moje różowe, okrągłe prosiaki, jak na smaczną kielbasę czy kaszankę. Dlatego obraziłam się na babcię, kiedy postanowiła jednego z tych prosiaków zabić.

Tydzień wcześniej zmarła po kilku tygodniach choroby Marysia, moja mama była wycieńczona i załamana, babcia trzymała się ostatkiem sił, dwóch braci mamy poszło w ślady mojego ojca i zaciągnęło się do wojska. Nie mieliśmy, co jeść. Aż tu nagle przyjechał tato, dowiedziawszy się z telegramu o śmierci córki. Babcia długo się nie zastanawiała – poszła z nim i pozostałymi na gospodarce synami do chlewu i zarżnęła jedną świnię, a potem przyrządziła pierwszy od wielu tygodni solidny posiłek.

Płakałam nad tą straconą świnia, ale okrutnie nadąsana jadłam z wilczym apetytem. Nie mogłam się nasycić. A było w tej wspólnej, cichej wieczerzy tyle rozpacz, że aż odbierało zmysły. Bo od śmierci bliskich gorszy jest tylko głód.

I wtedy przyszli Niemcy. Może gdyby nie pospiesznie uprzątnięte resztki sutoj kolacji, gdyby nie nieoporzędzone do końca świńskie truchło, gdyby nie wizyta ojca – żołnierza AK, uwierzyliby mojej babci, że świnia pochorowała się i zdechła. Jeden z gestapowców, ten którego przestraszyłam się najmocniej, złapał babcię Martę za twarz i przyłożył jej pistolet do brzucha. Wycodził po niemiecku kilka szorstko brzmiących słów, a wtedy tato podszedł do niego i powiedział stanowczym i chłodnym tonem:

– Weźcie mnie zamiast niej.

Żołnierz roześmiał się, puścił babcię, a potem uderzył tatę tak mocno, że upadł wprost pod stopy mojej mamy. Dotknęła wtedy jego bujnej, jasnej czupryny po raz ostatni w życiu. Po raz ostatni pocałowała siniejący policzek. Nie pozwolili mu niczego ze sobą zabrać. Wrzucili go na wóz razem ze wszystkimi świniami – zabrali nawet tę, która świeżo ubiliśmy. Patrzyłam na oddalający się wóz i płakałam, wtedy może nawet bardziej za Śnieżynką, bo przecież byłam przekonana, że ojciec wróci. Zawsze wracał.

Moja pogodna, jasna babcia starała się nigdy nie dać po sobie poznać, że cierpi. Ale od tamtego dnia, od dnia, w którym mojego ojca zamiast niej wywieziono do obozu, była już innym człowiekiem. Widziałam to, kiedy długo modliła się z pionową zmarszczką na czole pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, kiedy łagodnie tuliła do piersi moją zawsze smutną mamę, kiedy gładziła świńskie pyski pielęgnowane już nie dla gestapo, ale w imię polsko-radzieckiej przyjaźni.